

IN NOMINE
DIABOLI

IN NOMINE
DIABOLI



MAKS DIETER

Redakcja merytoryczna: Ewa Hoffman-Skibińska
Redakcja i korekta: Paulina Zyszcak – Zyszcak.pl
Druga korekta: Janusz Muzyczyszyn
Skład i łamanie: Studio Grafpa
Projekt okładki: Łukasz Białek
Druk: Mazowieckie Centrum Poligraficzne

Książka dostępna również jako e-book

ISBN 978-83-960458-7-4

<https://maksdieter.pl/>

<https://www.facebook.com/MaksDieterAutor>

https://www.instagram.com/maks_dieter_writing/

Tekst © Copyright by Paweł Krzysztof Polusik

Wydawca © Copyright by Paweł Krzysztof Polusik

Tarnowskie Góry 2024 – wszelkie prawa zastrzeżone

Wstęp



ACZAĆ muszę od tego, co chyba w każdej powieści najważniejsze – stylu oraz języka, w jakim książka jest napisana.

Z pewnością część z Was – o ile nie każdy – zastanowi się, co temu Dieterowi strzeliło do głowy, aby używać archaizmów.

Cóż. Szczerze mówiąc, podczas pisania sam się nad tym zastanawiałem. Po kiego gryba tak utrudniać sobie życie? Przecież można było napisać cały tekst współczesnym językiem i – poza kilkoma zapaleńcami na punkcie historii – nikt nie miałby mi tego za złe.

Rzecz w tym, że nie lubię iść na łatwiznę i gdy się do czegoś biorę – a już tym bardziej na coś uprę – chcę, aby to było zrobione porządnie. Zwłaszcza podczas wymyślania fabuły i konstruowania tekstu każdy szczegół musi być dopracowany. Jasne, nie wszystko zawsze wyjdzie tak, jak by autor chciał, staram się jednak dążyć w tej materii do perfekcjonizmu.

Tak było również w przypadku *In nomine diaboli*.

Od samego początku miałem zamiar, aby akcja rozgrywała się w moim ukochanym literacko sienkiewiczowskim XVII wieku. Starłem się – na tyle, na ile to możliwe – oddać ducha tamtych czasów, dlatego szczególnie język dialogów musiał przynajmniej przypominać ówczesną mowę, a właściwie tę sienkiewiczowską, bo z początku głównie na niej się wzorowałem. Podobnie jak nasz noblista, pokusiłem się o nieco autorską konstrukcję archaizmów, za co zapewne spadnie na mnie fala krytyki, szczególnie ze

strony środowisk językoznawczych, ale nie dbam o to. Najważniejsze jest dla mnie to, że napisałem tę książkę tak, jak chciałem.

Historia ta siedziała mi w głowie już od dłuższego czasu i jeszcze przed ukończeniem *Strażnika piekła* wiedziałem, jak będzie wyglądała następna książka. Ci, którzy czytali poprzednią moją powieść, zapewne kojarzą fragment, w którym opisane zostało stracenie kilku wiedźm. To właśnie wtedy wykiełkował pomysł na rozgrywające się parę stuleci temu dzieje dziewczyny oskarżonej o czary. I mimo iż w *Strażniku piekła* można doszukać się dużo więcej szczegółów z mojej własnej przeszłości, to opowieść o losach Doroty Miłosławskiej jest mi równie bliska, co przygody Maćka i jego przyjaciół. Pokochałem tę dziewczynę i myślę, że Ty też ją polubisz. A jeśli nie, to bardzo możliwe, że ruszy Cię przynajmniej kontrowersyjny wątek księdza gwałciciela. Ci, którzy zdążyli poznać mnie jako pisarza, wiedzą, że lubię szokować, dlatego i tutaj nie mogło zabraknąć elementu skłaniającego do refleksji poprzez analizę psychiki antagonisty, w tym przypadku biskupa zbrodźcy. Nie będę się tutaj rozwodził nad własnym poglądem na temat przedstawicieli episkopatu ani tym bardziej samej wiary w Boga, gdyż musiałbym srodze przynudzić jeszcze kilkoma stronicami głęboko osobistych duchowo-moralnych wynurzeń.

Co się tyczy samej fabuły – z pełną premedytacją i zamysłem przyznaję: skradłem wątek skrzywdzonej i mszczącej się dziewczyny z *Carrie* Stephena Kinga, co zresztą fani mistrza grozy z pewnością wychwyć. Moi czytelnicy wiedzą także, że ja sam niejako wzoruję się na pisarzu z Maine.

Wspomnieć również muszę o tytanicznej pracy, jaką wykonałem podczas researchu dotyczącego rozpraw sądowych opisywanej epoki i rejonów Polski, czyli Małopolski i Śląska. Nieocenioną pomoc w tej materii dostarczyło mi opracowanie Mariana Mikołajczyka pt. *Proces kryminalny w miastach Małopolski XVI – XVIII wieku* udostępnione dzięki uprzejmości Śląskiej Biblioteki Cyfrowej. Ta lektura sprawiła, że przebieg rozpraw sądowych wraz ze wszystkimi szczegółami mógł stać się rzetelny i wiarygodny.

W kwestii lingwistyki i archaizmów posiłkowałem się nie tylko kolejnym czytaniem Sienkiewiczowskiej Trylogii, ale również nieocenionym *Słownikiem staropolskim* autorstwa Antoniego Krasnowolskiego i Władysława Niedźwieckiego wydanym po raz pierwszy – co ciekawe – przez wydawnictwo M. Arcta w 1920 roku.

Bibliografia nie byłaby pełna bez chyba najważniejszej pozycji, dzięki której powstał trzon samej fabuły – *Malleus Maleficarum*, czyli słynnego *Młota na czarownice* Heinricha Kramera i Jacoba Sprengera. To książka również ciekawa, co przerażająca i kontrowersyjna. Bo o ile historia opisana w powyższej powieści jest od początku do końca fikcją literacką (poza drobnymi smaczkami takimi jak autentyczny pożar kościoła jasnogórskiego w 1690 roku), o tyle sposoby postępowania w przypadku oskarżenia kobiet o czary i konszachty z diabłem są już jak najbardziej autentyczne. Ów tytuł był swoistym podręcznikiem dla sądów oraz egzorcyстів KK, z całą mocą egzekwowany w Europie doby późnego średniowiecza i wczesnego odrodzenia.

Mimo iż wątek samego oskarżenia i skazania Doroty został zmyślony, na refleksję zasługuje fakt, że tego typu rzeczy działy się naprawdę, a życie w mękach straciło w tamtej epoce setki tysięcy kobiet w krajach europejskich, w tym na ziemiach polskich.

Abstrahując od tego smutnego motywu, *In nomine diaboli* ma przede wszystkim dostarczyć rozrywki w postaci mocnych wrażeń i radości z przyjemnej lektury, czego Tobie, szanowny Czytelniku, z całego serca życzę.

Maks Dieter

„(...) Za sprawą czarownic, a Bożym dopuszczeniem, demony ludzi opętują”.

„(...) o wykorzeniu czarownic ostatnim lekarstwem, do którego Kościół od Boga jest zobowiązany, który rozkazał: „czarownikom nie dopuszczaj żyć na ziemi””.

Młot na czarownice,
H. Kramer, J. Sprenger

I

Slużebnica Boża



APACH wosku, kadzidła i potu tworzył mieszankę, od której robiło się słabo już na początku nabożeństwa, jednak w roku pańskim tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym niewielu ludziom ów wątpliwy aromat przeszkadzał.

Przepastne wnętrze katedry jasnogórskiej nie było w stanie rozproszyć nagromadzonego smrodu. Wyjątkowy, jak na kwiecień, upał sprawił, że lejący się z nieba żar nagrzał wnętrze, tworząc jeszcze większy zaduch i potęgując przykry zapach. Licznie zebranych wewnątrz ludziom zdawało się to jednak nie przeszkadzać – po kilkunastu minutach zmysł węchu adaptował się na tyle, że nie zwracali większej uwagi na unoszący się gryzący odór.

Niektórzy przyjmowali z ulgą ostatni kwadrans nabożeństwa, karcąc się w myślach za ten grzech. Kościół pękał w szwach, gdyż była to msza wyjątkowa, którą odprawiał sam biskup krakowski Teodor Walasek przybyły z czterotygodniową wizytą do Częstochowy.

Dorota stała jak zawsze w pierwszym rzędzie, tak aby znajdować się jak najbliżej duchownego, który teraz wydawał jej się niemal świętym. Obecność umieszczonej tuż za ołtarzem wielkiej figury Chrystusa Zbawiciela na krzyżu i obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej była dla niej tego dnia jeszcze bardziej wyjątkowa. Jako jedna z nielicznych żałowała, że celebracja dobiega końca. Nie zwracała uwagi na ludzi, którzy przybyli tłumnie

w nadziei, że gdy wezmą udział w uroczystości pod przewodnictwem najważniejszego zaraz po papieżu duchownego, Pan Bóg szybciej odpuści im grzechy. Jej wiara była inna niż ich – czysta, niezmacona egoizmem. Całym sercem kochała Boga, jego syna Jezusa Chrystusa i Maryję. Błogostan, w jaki wprowadzały ją głos księdza i obcowanie z Bogiem, był dla niej największą radością. Jej niespełna siedemnastoletni umysł chłonał łakomie każde słowo ceremonii, mimo iż większość słów ksiądz wypowiadał po łacinie i niewiele rozumiała.

Gdy msza dobiegła końca i wszyscy opuścili świątynię, dziewczyna nadal klęczała, modląc się gorliwie.

– Wstań, moje dziecko – usłyszała w pewnej chwili niski, ciepły głos. Otworzyła oczy i spojrzała na stojącego nad nią dostojnika kościelnego. Komża liturgiczna lśniła w świetle świec bogatymi złotymi i srebrnymi haftami. Uśmiech na nalanej, czerwonej twarzy wydawał się dobrotliwy i łagodny. Posłusznie wstała z kolan. Nie śmiała jednak podnieść wzroku. – Udaj się do zakrystii, gdy modlitwę skończysz. Rozmowę będziemy mieli.

Ksiądz oddalił się, a ona została sam na sam z rzeźbą krzyża i Zbawicielem. Cierpienie na twarzy Syna Bożego było namacalne. Krew na rękach, nogach i pod koroną cierniową wydawała się prawdziwa. Niemal widziała, jak wypływa z przekłutego boku, słyszała żalosne jęki, jak woła ją, aby podeszła i uwolniła Go od straszliwego cierpienia.

Znów padła na kolana i modliła się przez następny kwadrans. Potem wstała, otrzepała odświętną chabrową suknię sięgającą do kostek, wyszła z kościoła bocznymi drzwiami i udała się do zakrystii.



Biskup siedział na ciężkim rzeźbionym krześle za wielkim dębowym stołem, gdy rozległo się ciche pukanie.

– Wejść!

Gdy dziewczyna zamknęła za sobą drzwi, poczuła onieśmienie, jakie towarzyszyło jej zawsze przy osobie duchownej. Po raz pierwszy w swoim życiu znalazła się w prywatnym gabinecie księdza biskupa. Pokój zdawał się równie dostojny co sługa boży sprawujący w nim swój urząd. Kunsztownie rzeźbione meble, arrasy na ścianach i witraże w oknie sprawiały, że czuła się mała i nic nieznająca. Obecność biskupa pogłębiła ten stan.

– Nie lękaj się, drogie dziecko. Jak ci na imię?

– Dorota – odparła półszepem.

– Spocznij, Dorotko – powiedział kapłan dobrotliwie. Jego czerwona twarz wyrażała troskę i dobroć. Małe czarne oczka zachęcały, aby się ośmieliła.

Dziewczyna zrobiła niepewnie kilka kroków po perskim dywanie przedstawiającym kolorową mozaikę, od której mieniło się w oczach. Wahała się chwilę, gdy dłoń duchownego wskazała jej krzesło. W końcu usiadła ze spuszczoną głową.

– Spójrz na mnie – poprosił biskup. Podniosła wzrok, a metropolita kontynuował: – Jesteś gorliwą parafianką. Młodaś jeszcze, lecz widzę ja w tobie potencję służby bożej i widzi to Pan Bóg. Wypełniasz Słowo Boże, jak nakazuje Pismo Święte, przeto chciałbym, abyś znalazła się bliżej mej osoby. Poszłaś ty w ślady swojej matki... oby opatrność Boża przywróciła jej zdrowie... która od dziecka była wierną owieczką w naszej boskiej zagrodzie, co też ksiądz proboszcz mówił mnie nieraz. Jeśli dobrze wypełnisz ty służbę u mnie, będę rad, abyś przyjęła święcenia na mniszkę i służyła Panu Bogu do końca swych dni.

Dziewczyna ponownie spuściła głowę.

– Dziękuję, wasza eminencjo. Niegodnam ja takiegoż zaszczytu – odparła, nie podnosząc spojrzenia. – Wypełnię waszą wolę, tak mi dopomóż Bóg.

– Taką mam nadzieję, drogie dziecko – odparł biskup. Dziewczyna poderwała się i czym prędzej ucałowała wyciągniętą w jej kierunku dłoń.

Na grubych niczym serdele palcach spoczywały ozdobne pierścienie, z których najcenniejszy, złoty, z insygniami kurii krakowskiej, zdobił środkowy palec. Nawet gdyby zauważyła przelotny uśmiech na pucułowatej twarzy, w jej czystym, bogobojnym umyśle nie powstałby zapewne nawet ślad podejrzenia co do niecznych zamiarów duchownego. – Stanęliśmy naszą osobą na spoczynku u księdza proboszcza w Konopiskach. Azali wiesz, gdzie to jest?

– Tak, proszę księdza biskupa. Pomagam tam na plebanii w gospodarstwie każdej soboty.

– Dobrze. W takim razie wolę mam ku temu, abyś stawiała się tam codziennie o wschodzie słońca aż do mojego wyjazdu.



Dorota mieszkała we wsi Wrzosowa kilka kilometrów od Częstochowy. Gdy tego dnia wracała do domu, była tak szczęśliwa z zadania, jakie zlecił jej sam biskup, że zapomniała o swoim największym zmartwieniu – chorobie matki. Jeszcze dwa miesiące temu chodziły wspólnie na wszystkie msze. Teraz rodzicielka wstawała z łóżka ledwie kilka razy dziennie złożona chorobą, na którą nie znano lekarstwa. Gdy zaczęła kaszleć i pluć krwią, doktor sądził z początku, że to suchoty, lecz nie zaraziła córki ani nikogo z otoczenia, więc uznał, że to opisana przez pewnego francuskiego lekarza sto lat wcześniej i oznaczona postacią kraba choroba, która w tym przypadku zaatakowała płuca. Oznajmił, że nie może nic zrobić, gdyż nie wymyślono na tę przypadłość żadnego lekarstwa, i stwierdził, że chorej zostało nie więcej niż parę miesięcy życia. Dziewczyna modliła się zatem gorąco, gdyż tylko w Bogu upatrywała nadziei na przywrócenie matce zdrowia. Tym razem jednak była pewna, że nowa służba na dworze proboszcza przypadnie Panu Bogu do gustu i ten zlituje się i ozdrowi jej matkę. Mówiło jej to niebieskie kwietniowe niebo, śpiewały o tym ptaki

i szumiały drzewa. Nawet krowy na łące zdawały się muczeć radośnie, jakby usłyszały już tę dobrą nowinę.

Uradowana Dorota wpadła do chaty niczym świergoczący ptak przez otwarte okno.

– Matulu! Nie uwierzycie, jakie szczęście mnie spotkało! Ksiądz biskup wyraził wolę, abym pełniła służbę na plebanii, a potem, jak Bóg da, na jego dworze! – krzyczała do leżącej kobiety.

Ta mrugała powiekami, patrząc na dziewczynę ze zdziwieniem. Dopiero po chwili dotarli do niej słowa.

– To dobrze, dziecko, to bardzo dobrze... – odparła słabym, skrzekliwym głosem. Próbowała się podnieść i przytulić córkę, lecz zamiast tego zaniósła się kaszlem.

Uśmiech na twarzy dziewczyny zgasł niczym słońce przesłonięte przez obłok. Zobaczyła czerwone plamki na pościeli. Przeniosła wzrok na tkwiący obok łóżka zakrwawiony kawałek materiału, w który chora kaszlała.

– Matus, będziecie zdrowi. Pan Bóg was uleczy. Niech tylko w niebie poznają, jakie zasługi oddam dla królestwa Pana naszego – powiedziała, łapiąc matkę za bladą, kościstą dłoń.

Kobieta opadła na poślanie, dysząc ciężko.

– Moja Dorotko... Chyba już Pan Bóg prędzej wezwie mnie do siebie. Bądź ty na to gotowa.

– Nie powiadajcie takich rzeczy! Sto lat będziecie żyć, matuś, albo i dłużej.

Chora uśmiechnęła się blado w odpowiedzi.

– Czuję ja, że niedługo przyjdzie na mnie czas. Ale ty, córuś, masz całe życie przed sobą. W sześć miesięcy skończysz ośmnaście wiosen. Jeśli taka wola Boga, wezwie cię na służbę, ale jeśli zdarzy się inaczej, musisz znaleźć sobie kawalera. Nie obiboka jakowego, jeno chłopca majątnego i rozumnego. No i dobrego. Ślub weźmiecie i potomstwo liczne mieć musicie.

Kraśnaś dziewczucha. Znajdziesz takiego, co ci nieba przychyli, jak tylko cię ujrzy...

– Oj, matulu, dajcie pokój... Mnie jeno Bogu służyć – przerwała speszona Dorotka. Rumieńce na gładkich policzkach dziewczyny nie umknęły matczynej uwadze.

– Będzie, co Bóg da. Służba u biskupa to jeszcze nie zakon. Oddałabym Panu Bogu wszystko, nawet ciebie, ale szkoda mi... – Kaszel przerwał słowa chorej.

– Odpocznijcie, matulu. Pójdę zagonić bydło – powiedziała Dorota, po czym wyszła na podwórze.



Słońce czerwonej barwy wisiało tuż nad horyzontem, gdy poganiane przez Dorotę muczące żałośnie krowy wchodziły kolejno przez drzwi obory. Rozmawiała z nimi wesoło, jak to miała w zwyczaju, zwracając się do nich po imionach, które sama im nadała. Głaskała je po łbach i grzbietach, a czasem nawet przytulała. Uważała, że jako stworzenia boże są jej braćmi i siostrami. Jeszcze niedawno mieli piętnaście krów, ale odkąd matka zachorowała, Dorota nie dawała rady oporządzić obejścia i gadziny sama, więc zapadła decyzja, aby sprzedać dziesięć sztuk bydła na targu w Lublińcu, a pieniądze przeznaczyć na leczenie.

Od pewnego czasu Dorotę obserwował zza drzewa Janek – mieszkający po sąsiedzku młody chłopak, który przez ostatnie miesiące częściej odwiedzał dziewczynę i jej matkę, pomagając w gospodarstwie. Gdy uznał, że nadeszła odpowiednia chwila, wyszedł z ukrycia, przywitał się i skłonił po szlachecku, mimo że był zwykłym chłopem.

– Bądź pozdrowiona, Dorotko! – rzekł wesoło.

Uśmiechnęła się na jego widok. Lubiła go, choć wiedziała, że nie tak jak on ją. Od pewnego czasu podejrzewała go o afekt do niej. Był

miłym chłopcem, lecz ona w sercu miała tylko Chrystusa i Jego matkę Maryję. Mimo to czuła do Janka sympatię i lubiła przebywać w jego towarzystwie.

– Witaj! Cóż cię do mnie sprowadza? – spytała pogodnie.

– Towarzystwa twego mi potrzeba. Dusza mi się za tobą stęskniła – odparł chłopak rezolutnie.

– Dajże spokój. Za kim tu tęsknić? Jam zwykła dziewczka.

– Ani zwykła, ani dziewczka. Tyś niczym szlachcianka, jeno w chłopskim odzieniu.

Na te słowa Dorota zmarkotniała. Chwyciła wiadra i ruszyła w stronę studni. Przed oczyma stanął jej ojciec wywodzący się z zacnego rodu Miłosławskich. Zginął w pojedynku na szable, gdy miała dwanaście lat. Bronił honoru jej matki, z której naśmiewał się inny szlachcic. Dziewczyna wiedziała, że jest półkwi szlachcianką. Nie cieszyła się z tego powodu sympatią wśród mieszkańców. Traktowali ją inaczej i czuła to od dawna. Niekiedy słyszała docinki padające często z ust rówieśnic. Z tego powodu nie miała bliższych relacji z okolicznymi dziewczętami. Miejscowi ludzie, chłopstwem będący, patrzyli na nią nieprzychylnie z powodu jej półszlacheckiego pochodzenia. Ona sama była skromna i nigdy nawet przez myśl nie przeszło jej, aby okazywać wyższość ze względu na swoje pochodzenie. Wręcz przeciwnie – wstydziła się go. Uważała, że ojciec postąpił lekkomyślnie, stając do pojedynku, w którym stracił życie, i winiła za to jego szlachecką dumę. Im starsza była, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że tytuły to żaden przywilej.

Widowała w Częstochowie te butne miny. Czuła na sobie lubieżne spojrzenia, gdy szlachcice wychodzili podchmieleni z szynków i karczm. Puszczala mimo uszu niewybredne komentarze pod swoim adresem i zaproszenia do wspólnego spędzenia nocy. Raz nawet zdzieliła w twarz pana Błotnickiego, podstarościego kieleckiego, gdy ten próbował ją oblać, co reszta jego pijanych kompanów skwitowała gromkim śmiechem

i gwizdami. Takie zachowanie miało się nijak do tego, co opowiadał jej ojciec. Szlachcic to ktoś, kto broni czci, honoru, ojczyzny, kto wierzy w Boga i przestrzega przykazań. Nie... To, co widziała w zachowaniu szlachciców, nie pokrywało się ze słowami ojca, dlatego nie chciała pamiętać o swoim pochodzeniu.

– Wybacz, jeśli uraziły cię me słowa. Nie chciałem prawić nic złego... – odezwał się Janek, widząc, że jego gadanie jest dziewczynie nie w smak.

– Nie wiń siebie. Wspomniała mi się dawna sprawa. Ot co... – odparła dziewczyna, nabierając wodę ze studni. – Mam dobre wieści – zmieniła temat. – Ksiądz biskup chce mnie u siebie do służby na parafii. A później, jeśli Pan Bóg zechce, może zostanę służebnicą Bożą.

Tym razem chłopak zmarkotniał.

– To znaczy... że możesz wstąpić do stanu duchownego? Chcesz pójść za bramę? – spytał niepewnie, chwytając jedno z wiader.

– Wola boska – odparła. Janek uśmiechnął się blade.

– Wola boska... – powtórzył głucho, stawiając wiadro przed drzwiami chaty. – Bądź zdrowa, Doroto. Bywaj!

Oddalił się w stronę swojego domu, nie obejrzawszy się ani razu. Dorota zastanawiała się przez moment, czy to jej ostatnie słowa sprawiły, że odszedł tak nagle. Z reguły wchodził choćby po to, aby przywitać się z jej matką i spytać o zdrowie. Patrzyła chwilę, jak chłopak odchodzi, po czym westchnęła i wniosła wodę do chaty.



Nazajutrz skoro świt pędziła drogą w stronę Konopisk, gdzie mieściła się plebania. Dziękowała w duchu Najświętszej Paniencie, że zesłała na nią szansę służby dla Pana Boga. Gdy ujrzała pomiędzy brzoza czerwony dach wielkiego domu, poczuła lęk. Zaczęła wątpić, czy podoła zadaniu. W końcu ksiądz biskup to nie byle kto.

Przekroczyła bramę oraz mostek nad rzeczką stanowiące południową granicę posiadłości i podążyła pewnie w stronę dworku pełna wiary i nadziei.



Mijały trzy tygodnie, odkąd Dorota zaczęła pracę u biskupa. Nadeszła druga połowa maja, a pogoda była równie dobra co nastrój dziewczyny. Stan matki polepszył się w tym czasie, co musiało oznaczać, że jej postępowanie podoba się Bogu. Dorota z każdym kolejnym dniem nabierała pewności, że wszystko się ułoży. Musiała tylko zostać siostrą zakonną i służyć ojcu niebieskiemu do końca swoich dni. Czasem nachodziły ją myśli o przystojnych kawalerach. Myślała wtedy o ślubie i dzieciach, o swojej rodzinie. Jednak gotowa była poświęcić to wszystko. To ofiara, na którą się godziła, aby ratować matkę.

Obowiązki na plebanii bardzo jej się podobały. Robiła to, co lubiła: gotowała, sprzątała, pracowała w polu. Czeladź od razu obdarzyła ją sympatią. Jako miła, skromna i uśmiechnięta dziewczyna szybko zdobyła powszechną sympatię.

Biskup obserwował ją z boku, zadowolony z nowej pomocnicy.

Miał względem niej plany.

Nie byle jakie plany.

Lubił patrzeć, jak pracuje w polu, jak nosi wiadra z wodą, jak doi kozy i karmi świnię. Nie zachodził z reguły do części gospodarskiej posiadłości, lecz dla tej dziewczki robił wyjątek. Siadał w cieniu rozłożystego dębu na sosnowej ławce i spoglądał, jak młódka nachyla się nad grządkami w ogrodzie. Wodził wzrokiem po krągłościach pod sukienką w miejscu pośladków, mimowolnie zwilżając wargi językiem. Pocił się tedy bardziej niż zwykle. Jego oddech przyspieszał, palce zaciskały się na fałdach sutanny, a myśli krążyły w świecie fantazji. Gdy przechodziła obok,

kłaniając się z bożym pozdrowieniem na ustach, wciągał w nozdrza jej zapach.

Pewnego razu zdarzyło się coś, czego Dorota nie mogła zrozumieć. Gdy po skończonej pracy zbierała się do drogi powrotnej, podeszła do niej siostra Małgorzata, kobieta około lat czterdziestu, zawsze dla dziewczyny miła. Tego wieczoru miała jednak dziwny wyraz twarzy.

– Czego oczekujesz po służbie u księdza biskupa? – spytała, patrząc na rozmówczynię badawczo.

Dla dziewczyny odpowiedź była oczywista. Nie rozumiała, dlaczego Małgorzata w ogóle zadaje takie pytania.

– Pragnę jeno sprawić radość Panu Bogu i Najświętszej Paniencie...

– A wieszli, że biskup oczekuje czegoś innego?

– Zrobię wszystko, co ksiądz biskup poleci. Przecie on tu pierwszy po Panu Bogu, a jemu w głowie jeno służba Boża... – odpowiedziała bez zastanowienia.

Małgorzata zacisnęła powieki i spuściła głowę.

– Dobra z ciebie dziewczka. Modlitwę za ciebie zmówię, moje dziecko – odparła ze łzami w oczach, pogłaskała dziewczynę wierzchem dłoni po policzku, po czym oddaliła się w pośpiechu.

Dorota stała, nie wiedząc, co począć, stropiona zachowaniem zakonnicy. Po dłuższej chwili głęboko zamyślona ruszyła drogą prowadzącą do domu.

II

Wino mszalne



OSTATNI czwartek maja przypadało święto Bożego Ciała – dzień, którego Dorota nie wyobrażała sobie inaczej niż w kościele, dlatego w czwartkowy poranek wyruszyła do Częstochowy. Nie szła jednak sama. Niekiedy w drodze na Jasną Górę towarzyszył jej Janek. Tak stało się i tym razem. Choć sam nie był specjalnie religijny, chłopak kroczył ochoczo, gdyż mógł towarzyszyć Dorocie.

Jego ojciec przestał chodzić do kościoła, gdy Janek był jeszcze małym chłopcem, a nastąpiło to niedługo po tym, jak jego matka opuściła ten świat. Stary Więzik zamienił wtedy modlitwy i uczestnictwo w mszach świętych na wino, miód i przesiadywanie w karczmie. Tym samym chłopak również przestał praktykować wiarę chrześcijańską. Dorota wiedziała o tym i starała się nawrócić go na właściwą ścieżkę. Tym bardziej cieszyła się, gdy towarzyszył jej podczas mszy. On jednak robił to, aby mieć ją blisko. W świątyni starał się naśladować pozostałych, lecz myślami błądził gdzie indziej. Spoglądał na swoją towarzyszkę ukradkiem i napawał się jej widokiem.

Tego dnia wyglądała niczym prawdziwa szlachcianka: włożyła bogato zdobioną białą suknię, którą ojciec przywiózł jej z Francji. Nie mógł się wtedy doczekać, gdy jego córeczka dorośnie do rozmiarów kreacji i będzie mogła pokazać się ludziom w tak znacym odzieniu. Nie dożył tego

dnia, za to Janek i inni mogli podziwiać ją w iście wytwornym wydaniu. Blond włosy upięte na styl dworski podkreślały dystyngowany wygląd. Niebieskie oczy świeciły niczym kamienie szlachetne i uśmiechały się w odpowiedzi na nieprzychylnie spojrzenia tych, którzy wiedzieli o jej na wpół chłopskiej krwi.

Prezencja dziewczyny nie uszła uwadze biskupa.

Po skończonym nabożeństwie ksiądz poprosił Dorotę, aby niezwłocznie udała się na plebanię, gdyż jest pilna sprawa. Dziewczyna dziwiła się, co też dostanie do zrobienia w tak ważne święto, jednak zgodziła się bez wahania, o nic nie pytając. Kazała Jankowi wrócić do wsi, ale ten uparł się, aby pójść wraz z nią. Nie chciała ciągnąć go ze sobą, lecz widziała, że nie w smak mu było ją zostawiać, poza tym uznała, że raźniej jej będzie z nim u boku.

Na miejscu poprosiła chłopaka, aby zaczekał nieopodal bramy wjazdowej, i poszła dalej sama. Małgorzata, która przywitała ją od wejścia, wręcz zaniemówiła na jej widok.

– Dorotko! Wyglądasz tak właśnie jako z królewskiego fraucymeru... No księżna jaka! – wydusiła nareszcie.

– Och... Nie powiadajcie takich rzeczy. Ot, zwykłe odzienie świąteczne – odparła skromnie Dorota z rumieńcem na twarzy. – Ksiądz biskup chciał mnie widzieć. Nie wiecie, gdzie go znaleźć?

– Obiad kończy. Spocznij. Powiadomię go, żeś przybyła – odparła przełożona, po czym zniknęła za drzwiami na drugim końcu izby.

Dorota usiadła na zydlu przy ścianie, jak przystało na służbę, mimo że tego dnia miała wolne. Po kwadransie wróciła Małgorzata. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Wyglądała jak ktoś, kto usłyszał złą nowinę.

– Ksiądz biskup nakazał, abyś przyszła do niego. Czeka w izbie na końcu sieni – oznajmiła. W jej postawie Dorota dostrzegła coś dziwnego, coś, co ją zaniepokoiło.

Gdy mijaly się w wejściu, spojrzaly na siebie. W oczach starszej służącej wyczytała troskę i niepokój. Znowu to samo. Chciała spytać, o co

chodzi, ale ostatecznie zrezygnowała z tego zamiaru. Po chwili wahania skierowała się korytarzem w stronę pokoju, w którym gościł biskup. Gdzieś w oddali przetoczył się grzmot, odbijając się echem od ścian pomieszczeń domostwa. Po upalnym popołudniu zanosilo się na burzę.

Stała przed drzwiami gabinetu duchownego. Ogarnął ją niepokój, przecucie, że coś jest nie tak. Podniosła rękę, aby zapukać, i zawahała się. Zganiła siebie w myślach: co mogło jej grozić? Przecież to przybytek Boży. Pan mieszka pod tym dachem, a ona ma się spotkać z Jego sługą, pasterzem. Zastukała niepewnie.

– Wejdz! – usłyszała niski, basowy głos dobiegający zza dębowych drzwi.

Gdy przeciągłe skrzypnięcie towarzyszące wejściu dziewczyny umilkło, biskup wskazał krzesło. Przepych w pomieszczeniu panował jeszcze większy niż w zakrystii kościoła na Jasnej Górze. Dorota nigdy wcześniej nie była w tym pomieszczeniu innym niż pozostałe, gdyż była to specjalnie urządzone izba gościnna dla biskupa, który upodobał sobie Konopiska i przyjeżdżał do nich przynajmniej dwa razy w roku, a teraz bawił tutaj już od miesiąca. Proboszcz wiedział, że biskup dobrze czuł się w zbytku, dlatego nie żałował pieniędzy, aby hierarsze dogodzić. A zatem ściany zdobiły przebogate arras i obrazy najwybitniejszych malarzy włoskich, francuskich, hiszpańskich, na podłodze tureckie kobierce pyszniły się mnóstwem kolorów i wzorów. Zdobione kunsztowne meble dębowe i orzechowe przydawały splendoru.

Dorota ponownie poczuła onieśmienie. Tym razem ksiądz nie podsunął jej dłoni do ucałowania. Zamiast tego wstał i podszedł do okna. Przez chwilę wpatrywał się w grafitowe chmury na horyzoncie.

– Miałem dziś wizję – odezwał się, gdy cisza stała się dla dziewczyny niezręczna. Jego głos przepęniała pasja. – W tej wizji Matka Boska nakażała mi uczcić ten święty dzień z kimś, kto jest w łasce Bożej. I wiesz, kogo wybrałem? – Odwrócił się do Doroty. – Ciebie, moje dziecko. Nie